NUMER 28. DNIA 9. LIPCA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI. 3)

Żywioł niemiecki na ziemi poznańskiej.

Geschichte des Deutschtums im Lande Posen unter polnischer Herrschaft. Von dr. Erich Schmidt, Oberlehrer in Bromberg. Mit 25 Abbildungen und 2 Karten. Bromberg 1904. Str. XII. i 442. (Dzieje żywiołu niemieckiego w ziemi poznańskiej za czasów polskich przez dra Eryka Schmidta, wyższego nauczyciela w Bydgoszczy).

(Dokończenie.)

Tem ciągłem wychwalaniem kultury niemieckiej, tem wystawianiem każdego chłopa lub rzemieślnika niemieckiego jako uosobienia kultury, kompromituje się autor sam, bo zapomina o tem, że w tym samym czasie, gdy jego koloniści importują do barbarzyńskiej Polski kulturę, Polacy taką samą kulturę exportują do Niemiec, bo już w XIII. wieku zaczął Zakon Krzyżacki kolonizować spustoszone ziemie pruskie ludnością polską i był z niej bardzo zadowolony.

Nareszcie jeszcze jedna uwaga. Prawo niemieckie nie uchroniło ludności w Niemczech od poddaństwa i niewoli, a i u nas było przyczyną, że ludność wiejska swobodna stała się poddańczą i niewolną. Wszędzie, gdzie prawo polskie przechowało się w pierwotnej sile, jak na Mazowszu, chłop zachował swą wolność. Wskutek prawa niemieckiego zabrakło w Wielkopolsce materjału do wewnętrznej kolonizacji i trzeba było później w XVII. i XVIII. wieku posiłkować się Niemcami, podczas gdy Mazowsze przy prawie polskiem miało tyle swobodnej ludności, że kolonizowało nietylko Prusy Wschodnie, ale i Litwę i Ruś, gdzie do dziś dnia przechowały się kolonje mazurskie wśród Litwinów i Rusinów.

Ten żywioł niemiecki, który za czasów piastowskich przybył do Polski, osiadłszy w miastach wśród ludności polskiej, spolszczał w czasie stosunkowo krótkim; gdyby wszystko było tak, jak autor i Niemcy twierdzą, nie byłoby dziś od dawna już Polaków. Tego wniosku powinien był autor sam się domyśleć, skoro na str. 304 o rezultacie owej rzekomej kolonizacji tak się wyraża: „Po wielkiej kolonizacji niemieckiej, która w XIII. i XIV. wieku groziła zalać całą Polskę i zamienić ją w kraj niemiecki, jak Śląsk — który pomimo to do dziś dnia jest do połowy polski — pozostały w końcu XVI. wieku tylko nieliczne szczątki w niektórych okolicach nadgranicznych i w stolicy kraju t. j. w Poznaniu.

Prawo niemieckie w swoich skutkach ubezwładniło ludność wiejską i gdy sołectwa a więc także sądownictwo nad chłopami przeszły w ręce panów, przykuto ją do ziemi, gdy więc przy rozwoju gospodarstwa wiejskiego i handlu exportowego okazała się potrzeba ludzi do wycinania lasów i osuszania moczarów, aby na nich zakładać nowe folwarki, Wielkopolska nie posiadała dość ludności swobodnej, aby to dzieło przeprowadzić i musiała uciekać się do obcej pomocy. Korzystano z początku z t. zw. holędrów, którzy, będąc baptystami, uciekli dla prześladowań religijnych z ojczyzny do Prus Zachodnich, gdzie ich osiedlano w nizinach nadwiślańskich. Wielkopolska, sprowadzając ich, osiedlała ich głównie po lasach i moczarach nadrzecznych.

Gdy wskutek nędzy, która była bezpośrednim następstwem wojny trzydziestoletniej, ludność zubożała krajów sąsiednich szukała spokojnego pola pracy, skierowała się przeważnie do Wielkopolski, gdzie znalazła nietylko za niewielką opłatą obszerne gospodarstwa, lecz także swobodę w wykonywaniu swoich przekonań religijnych, zwłaszcza, że już

r. 1635 król Władysław IV. w piśmie do cesarza ujął się za protestantami niemieckimi a panowie polscy wzdłuż granicy śląskiej wystawiali zbory dla protestantów, którym u siebie nie wolno było odprawiać nabożeństwa. Z ich sił roboczych — według Schmidta naturalnie, z ich wyższej kultury — korzystali przedewszystkiem panowie wielkopolscy i starostowie królewscy, którzy na swych latyfundjach zakładali coraz nowe wioski i miasteczka, zaludniając je innowiercami, którzy wśród katolików czuli się obcym organizmem na ziemi polskiej. Jeżeli w XIII. i XIV. wieku Niemcy prędko się zlali z ludnością polską, to stało się to dla tego, że wszyscy byli jednej wiary, do jednego chodzili kościoła.

Niemcy protestanccy byli gorliwymi wyznawcami swojej wiary a panowie polscy byli o tyle wolnomyślnymi, że pozwolili im trzymać własnego nauczyciela lub pastora, czem zabezpieczyli im nie tylko wolność sumienia, ale także zachowanie narodowości. Nie potrzeba nikomu tłumaczyć, że niebaczna tolerancja katolików polskich o całe niebo różni się od praktyk dzisiejszych Prusaków, którzy nietylko korzystają z Niemców, którzy chleb i przytułek znaleźli na ziemi polskiej, aby nimi rozbić żywioł polski, lecz Polakom nawet nie pozwalają uczyć się po polsku, choćby za własne pieniądze.

Jeżeli autor sarka na to, że warunki, na których ci Niemcy osiedli, z czasem stały się cięższymi, to niech pamięta o tem, że jest postęp, że i w Prusiech podatki nie są wiecznie jedne i te same.

Osadzenie protestantów było dziełem nierozważnem — tak dziś przynajmniej sądzić musimy, lepiej i korzystniej byłoby niewątpliwie, gdyby zamiast nich sprowadzano do Polski katolików, czego dowodem jest ludność bamberska. Z polecenia biskupa Szembeka osadziło miasto Poznań na swoich dobrach katolickich kolonistów z pod Bambergu, którzy dziś wszyscy ku wielkiemu zmartwieniu hakatystów są Polakami.

Dzieło Schmidta urywa się z chwilą, gdy „der Rechtsstaat Preussen" — autor nie wstydzi się używać tego wyrazu właśnie przy sposobności, gdzie Prusy wykonały po prostu rozbój i rabunek na swoim sąsiedzie — objął w swoje posiadanie Wielkopolskę a z nią także liczne kolonje niemieckie.

Czy te kolonje, dostawszy się pod władzę króla pruskiego, zachwyciły się błogosławieństwem rządów pruskich, o tem autor już milczy, naturalnie ja jednak bardzo o tem wątpię, bo z naszą wolnością skończyła się także ich swoboda a podatki pruskie były o wiele uciążliwsze od czynszu polskiego; tego jednak Niemcom, zamieszkałym od dawna w Wielkopolsce powiedzieć nie można.

Wyraziłem o dziele Schmidta moje zdanie i zapatrywanie ogólnikowo, w szczegóły wchodzić nie mogę, bo tutaj nie jest miejsce po temu. Nadmieniam jednak, że to dzieło zawiera bardzo bogaty materjał, wzięty nietylko z kodeksów drukowanych, lecz pochodzący także z archiwum poznańskiego i innych, i to odnosi się nietylko do t. z. kolonizacji XIII. i XIV. wieku. Oprócz tego opisuje autor nam dokładnie urządzenia wsi i miast, prawa i ciężary, rozwój i upadek ich, jednem słowem praca p. Schmidta poza tendencją, która ją szpeci, jest dziełem bardzo pożytecznem, którego nikt pominąć nie powinien, kto zajmuje się wewnętrznymi stosunkami Polski i jej kulturą.

Z marjackiej wieży.

Z marjackiej wieży hejnał płynie...

Odbija echem od szczytów Sukiennic, kładzie się kornie u stóp pomnika Mickiewicza, drżąc jakoby sierocą skargą niknie wśród szeregów przechodniów...

A mnie się zda, że słyszę płacz sierót, które po ulicach Łodzi chodzą, pytając, kędy są owe ręce ojca-robotnika, który żywił j , który był im opieką i istnieniem...

Z marjackiej wieży hejnał płynie...

Złączył się z świergotem jaskółek, unoszących się rojem w około wieżyc, brzmi dziwnie — niepojęcie uroczo... rozpina się nad miastem, niby pajęczyna strun wielu z których każda gra i śpiewa...

A mnie się zda, że śpiew ten dziś inny, niż zwykle, że biją w nim echa strzałów słyszanych po ulicach Warszawy, że jęczą w nim skargi tych, którzy czują się krzywdzeni ciągle i zawsze, bo zawsze i ciągle despotyzm swą stopę kładzie na piersi ludu, jako ów wąż spragniony krwi i życia wielu...

Z marjackiej wieży hejnał płynie...

Podnoszę oczy w tę stronę. Na tle pogodnego szafiru rysuje się sylwetka szczytów wspaniale — lekka, koronkowa, harmonją linji upowita... A dołem, niżej, coraz niżej... coraz ciemniejsza masa, coraz cięższa forma... Jakże daleko od szczytu w błękicie, do tej podstawy, co w kurzu niknie... Tak zawsze daleko tym, co dźwigają szczyty i wieńczenia linji — tak tym daleko do błękitów — słońc i muzyki...

Z marjackiej wieży hejnał płynie...

Ucichł — wraca — zgasł i znów gra wyniosłą mową pieśni, mającej na swych skrzydłach wiekowych dat pióra...

A mnie się zdaje, że tak i skarga ciemnych, krzywdzonych, deptanych ludów, choć niby chwilami milknie, cichnie, to potem znów wraca, dzwoni, i woła o! woła do nowych rozświtów, do nowych uderzeń w postęp i ruch.

A mnie się zda, że wstaje z tej pieśni jakowaś moc i siła, która budzić nie przestanie, bo niesie echo jęków sierót, pytających: gdzie zapłata za krzywdy i zbrodnie?

Z marjackiej wieży hejnał płynie...

Tulę twarz w dłonie i modlić się poczynam o wielką pieśń — weselną dla Polski!

Jadwiga S.

MARJAN GUMOWSKI. 11)

Portrety Kościuszki.

(Ciąg dalszy.)

Nieco starszym zrobił Kościuszkę na parę miesięcy przed śmiercią angielski artysta *Ryszard Ramsay Reinagle,* przejeżdżając przez Solurę w podróży swej do Rzymu. Miniatura Reinagla, z której później dopiero w 1879 roku zrobiono w Paryżu kilka dużych olejnych kopji nakładem hr. Krystyna Ostrowskiego, wyobraża popiersie Kościuszki, ręką na poręczy fotelu opartego, z twarzą mającą zresztą bardzo mało rysów wspólnych z innymi znanymi portretami. Rozwichrzone włosy, krzaczaste brwi, długi i gruby nos i szerokie usta nadają twarzy wyraz nieco surowy i odpychający, a także młodszy, niż wiek tego wymagał. (Fig 18).

Daleko starszym za to i podobniejszym, niż na portrecie Reinagla, znajdujemy Kościuszkę na rysunku piórkiem Xawerego Zeltnera wyżej już wspomnianego. Rysunek ten, znajdujący się w zbiorach Muzeum polskiego w Rappcrswylu, wyobraża popiersie staruszka w profilu w lewo, z twarzą szczupłą i zmarszczoną, z nosem nieco zadartym i oczyma w głąb wsuniętemi. Porównywując ten portret z wcześniejszymi Gröla, Stachowicza, Grassiego i innych z 1794 roku, musimy przyjść do wniosku, że na rysunku Zeltnera podobieństwo rysów jest nadzwyczajne. Naturalnie taki portret Naczelnika z ostatnich lat jego życia rozchwytywano i kopjowano na wszystkie strony. Z tych kopji najlepszą

Fig. 18.



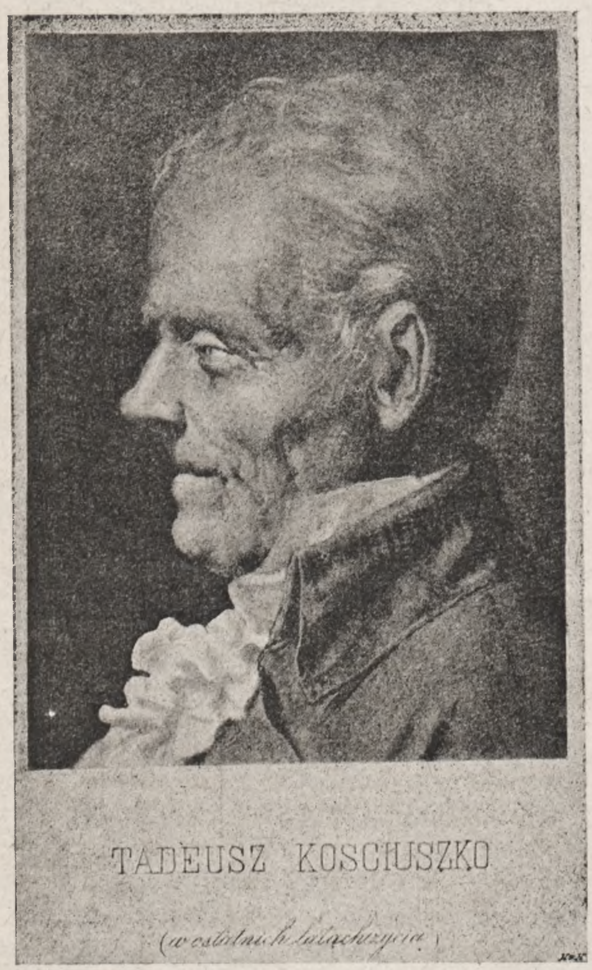
Muzeum Polskie w Rapperswylu.
Obraz olejny podług miniatury R. Reinagla z 1817 r.

może będzie olejny portret, malowany przez znakomitego artystę krakowskiego *Józefa Peszkę* a znajdujący się u p. Konrada Wentzla w Krakowie, i tego właśnie reprodukcję podajemy. Jest to obraz pierwszorzędnej wartości, przedstawiający nadto nadzwyczaj wiernie, może zanadto nawet realistycznie, tak drogie nam rysy. (Fig. 19.) Inny również bardzo dobry portret tego samego typu znajduje się w prywatnem posiadaniu w Warszawie *Horwarta i Kosteckiego.* Znane są również litografje i drzeworyty niemieckie (n. p. *Ang. Neumanna*) i francuskie podług rysunku Zeltnera robione, nie mające jednak większej wartości. W Muzeum w Rapperswylu znajdują się wśród całego szeregu miniatur, dwie przedstawiające Kościuszkę w sędziwym wieku, które niewątpliwie w ostatnich latach jego życia zostały wykonane. Jedna z nich robiona akwarelą przez *A. Amiet-Engel* nie pozbawiona jest cech oryginalności i prawdy.

Nadzwyczaj interesująca jest akwarela, znajdująca się w Muzeum XX. Czartoryskich, a malowana przez *Rietera,* artystę mieszkającego wówczas w Solurze. Wyobraża ona Kościuszkę leżącego na łożu śmiertelnem, z twarzą w profilu zupełnie podobną do rysunku Zeltnera i obrazu Peszki. Zmarły

spoczywa z błogim uśmiechem na twarzy i ze spokojem rolnika, co rzucił ziarna bogatych myśli na niwę ojczystą i wie, że na wiosnę zejdą i wydadzą plon pożądany.

Fig. 19.



Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie.
Fotografja z obrazu olejnego, malowanego przez Józefa Peszkę podług rysunku Zeltnera z 1817 r.

Artysta, specjalnie na to sprowadzony, silił się, by godnie odpowiedzieć swemu zadaniu i rzeczywiście pozostawił nam rzecz pierwszorzędną, udokumentowaną nadto aktami, razem z tą akwarelą przechowywanymi.

VI. Kompozycje portretowe z drugiej połowy XIX. w.

Walery Eljasz — Matejko — Styka — Kossak — Stachiewicz.

Portret pośmiertny Kościuszki przez Rietera malowany, jest ostatnim oryginalnym portretem Naczelnika. Wprawdzie z jego śmiercią nie ustało zupełnie publikowanie różnych sztychów, litografji i drzeworytów go przedstawiających, owszem wzmogło się nawet bardzo. Śmierć jego 1817 r., sprowadzenie zwłok do Krakowa 1820 r., sypanie mogiły 1821 r. i rokroczne nabożeństwa żałobne, były to wypadki, co zmuszały wprost do ilustracji. Rzeczywiście, jakeśmy widzieli, powstało wiele portretów koło 1820 r., n. p. Stachowicza, Brodowskiego, potem koło 1830, w czasie powstania listopadowego i w czasie emigracji. Były to jednak przeważnie kopje z Grassiego i podobne przeróbki jak Oleszczyńskiego, na oryginalnie pomyślany portret nikt się jednak wówczas nie zdobył.

Tego rodzaju są portrety przez Słupskiego, Butkiewicza, Brylla, Maleszewskiego, Walkiewicza, Malińskiego, Brydaka, Ajdukiewicza etc.

Dopiero z powstawaniem malarstwa narodowego polskiego w drugiej połowie XIX. wieku, zaczęto tworzyć portrety Kościuszki i to w ten sposób, żeby wyobrazić w nim bohatera i to bohatera ludu polskiego. Dlatego czy weźmiemy Kościuszkę Matejki, czy Kossaka, Styki czy Stachiewicza, wszędzie widzimy wspólne cechy: wyidealizowanie rysów, siła we wzroku, postawa bohaterska i otoczenie ludem wiejskim. (C. d. n.)

ROMAN CZAPLICKI.

Głębina ócz.

Patrz, głębio ócz, co pragniesz w tęczy ukąpania.
— — — — — — — — — — —
Ucz się, o duszo moja, milczeniem przemawiać,—
gdy w radosnym spokoju dobrego dumania
stawasz przed tworem Piękna, aby je wysławiać.
Ucz się, o duszo moja, być dobrą gościną —
gdy przedziwnej światłości światłość miłowana
zstępuje w twoje głębie z łaskawą nowiną
zwiastowania!!.. —
O duszo moja zasłuchana —
módl się! — boś mocy pełną jest i łaski.
— — — — — — — — — — —
Chwała tobie niech będzie, o miłości moja,
wołam! — duszo wielmożna darami żywota.
Graj tęczo ócz głębinie przewielebne blaski,
by się wiecznem pragnieniem stała rozkosz twoja,
i po wieczną tęsknica duszy, twa pieszczota.

Zakopane, w marcu 1905.

*Róża i bławat *)*

P. HELENIE BAŁTOROWICZ.

Pieszczona wietrzykiem,
Pojona deszczykiem,
Promieniami słonka wygrzana,
W poranku majowym,
Ogródku kwiatowym,
Zakwitła różyczka rumiana.

Zakwitła rozkosznie,
Marzyła miłośnie,
W ranki łzami rosy płakała,
Za modrym, za kwiatkiem,
Kochankiem, bławatkiem,
Którego kochała, kochała!

A modry bławatek
Bez czucia był kwiatek,
Choć na wspólnej grzędzie zakwitał,
Patrzył się niechętnie,
Zimno, obojętnie,
Na różę, choć miłość w niej czytał...

A róża kochała,
Z kochania więdniała,
Krasa jej listeczków pobladła —
Pewnego poranku,
Marząc o kochanku,
Z marzeniem na ziemię upadła...

JANTEK z BUGAJA.

*) Autor „Bladych kwiatów“, omawianych niedawno w „Tygodniu“ — włościanin poeta Jantek z Bugaja, przysłał nam kilka nowych wierszyków, z których jeden dziś umieszczamy.

Pod trzeciego króla.

Za Toruniem, pierwszem większem miastem jest Chełmno. Stara ta siedziba Polaków sięga czasów Mieczysława I-go, po spaleniu, przez Prusaków w r. 1239 murem otoczona. W r. 1253, gdy go chytrzy Krzyżacy w swe szpony dostali, cofnęli go wyżej na wzgórze, a to, by go ochronić od zalewu Wisły.

Miasto ono miało niegdyś prawo bicia monety, a stolicą Krzyżaków było od r. 1309, skąd ją przeniosły te zbójeckie mnichy do Malborga, który oryl zowie po swojemu „Maliborkiem“.

Jak w ogóle wszystkie miasta polskie pod on czas, tak i to ucierpiało nie mało, od Szwedów, którzy się krwawemi głoskami zapisali w kartach naszej przeszłości. I dziwię się, jak mogła powstać między ludem pieśń, w której Szwed ubolewa niby nad barbarzyństwem generała Drewicza, który Polakom ręce i nogi, a kobietom piersi obcinać kazał i tak śpiewa między innymi:

„Ja tu był cztery l ta,
Objechałem do pół świata,
Objechałem ją dokoła,
A Polska była wesoła,
A ty Moskwo nieszczęśliwa,
Czemużeś tak wielce mściwa?“ *)

Kto nas nie gnębił, dobry Boże! Kto nie chciał i nie mógł, i że mimo tylu wrogów w koło, państwo polskie tyle wieków istniało, to trzeba za Pötöfim powiedzieć: „że Polak dotąd żyje, wielki Boży cud“.

W r. 1815, Chełmno przeszło do Prusaków i ci tu znaną wściekłością krzyżacką, tępią polskie pamiątki i sam żywioł polski.

Kościołów tu kilka, z których wspaniała fara, licząca około 600 lat, sięga czasów polskich, inne są już z czasów krzyżackich.

Co za boleść ściska człeka, że co najpiękniejszy kraj dostał się Niemcom w pazury i Polak z żalem patrzy na tak śliczne miasta nadwiślańskie, które tak srodze cechę polskości zatracać są zmuszone.

I oto znowu płynie polski flisak koło miasta „Świecie“ albo „Świeć“, które pomorski książę Światopełek r. 1212. założył na tak malowniczym brzegu, a z którego dziś Prusak dumnie na królową rzek naszych spogląda.

Minąwszy Toruń przy ujściu Brdy przypływa oryl podwarowany Grudziądz, zwany niegdyś „Gródkiem“ albo „Ogrodzieńcem“.

Jakże tu, stojąc przy rzeczułce „Ossie“, nie przywieść na pamięć twórcę państwa polskiego, tę piękną postać w dziejach naszych, Bolesława Chrobrego, który w tej rzece kazał bić słupy żelazne na granicach swego kraju?

Królu! bohaterze! rycerzu! Tyś przeczuł na tyle wieków, co to za ziółka są i będą Niemcy dla twojego narodu i biłeś to plugastwo, co krzyżem a różańcem znaczyło swe cielska, a dusze miało niby czeluście piekielne. Gdybyś ty cudem stanął dziś na pomorskiej i poznańskiej twej niegdyś kra-

*) Pieśń tę słyszałem w małym wieku jeszcze będąc, od ś. p. mego ojca Gabrjela, ale pamięć zaledwo z niej tyle zachowała (prz. aut.)

inie — a zobaczył, jak ten Niemiec się panoszy — jak chce gwałtem przerobić naród polski na kopyto niemieckie, cobyś ty na to powiedział?

A przecież mimo to, że przewracają polskie pamiątki tutaj, mimo, że nazwy miejscowości zmieniają po barbarzyńsku, to jednak nie wierzę, aby nas stąd wyparli — bo choćby na razie prawo ustąpiło sile, to te urny naszych przodków Słowian, wykopywanie choćby i pod tym Grudziądzem będą świadczyć światu, że to sadyba słowiańska — polska. Historja w dalekie wieki świadczyć będzie, że miasta tego bronił od Prusaków Bolesław Śmiały, jeden z dzielniejszych polskich królów i dalej, że i Szwedów w r. 1655 polski oręż tu stąd gromił.

Biedny oryl mija sobie dalej te miasta i płynie oną cichutką Wisłą, która tu jest sobie „spokojna i cicha, i ani jej nie słychać tak lekko oddycha“, jak poeta o niej śpiewa, a cieszy się, że już do pala niedaleko, że pójdzie wnet „na doma na matka“, jak go zniemczali ludzie tutejsi pocieszają. Jadąc tak naokoło Nowego czyli „Nauenburga“, jak Niemcy zowią — siedzą sobie spokojnie oryle przy drygawkach i strużą sobie laski dębowe na drogę, pykają fajeczki, paląc tytoń trzech królowy (drei Koenig) pruski i gwarzą sobie różnie.

„Mój Boże! rzecze stary Koson z Siedliszowic — jaka to ta Polska była ogromna. Jedziesz za Kraków, pedają, że tu Polska, jedziesz tyle dalej na „Wołonie“ (na Wołyń) Polska, jedziesz na Bug, Polska, tyle tygodni płyneliśma pod Moskalem — dyć to rodowita Polska, tu już pod trzecim królem tyle dni płyniema i jeszcze Polsce nie koniec. Ej co też te choroby panowie porobili, że taki piękny kraj zasprzedały, teraz oni dziadują i człek się musi, jak dziad, tyrać po świecie i lada choroba człeka tyrpie to o paszport, to o różne wydzierkasy. A choć człek po Polsce swojej chodzi, to ani się o co po naszemu dopytać, ani się z tobą po ludzku rozmówią. Ot zeszłego roku chciałem se kupić w „Ccowie“ (w Tczewie) walec chlebusia i tego końskiego szmalcu. *) Idę sobie jak niemowniątko **) po mieście, a ujrzawszy jakichś panów idących, zdjąłem piknie czapkę i rzekę: Niech będzie pochwalony, a te krwie zaczęły się ze mnie starego oryla naśmiewać, a jeden z nich psianiema twarz coś gadał dum, dum, ***) jako niby żem dumny. Przygodny czasie, ja mam być dumny, dyć mię zresztą znata. A gdyby tu były polskie „rząda“, (rządy) toćby to było szyćko „unacy“ (inaczej).

Zdumiałem się nad uwagami prostego analfabety i jak mogłem krzepiłem nadzieję biednego chłopstwa, że przecież to nie sposób, aby nas Pan Bóg już tak opuścił, iżbyśmy się lepszej doli nie doczekali.

Pod Gniewem dzieli się Wisła na dwoje, jedna odnoga zwana Nogatem płynie do Elbląga, który orylowie „Olblągiem“ (starzy zwali go Olbiągiem) a druga płynie hen ku Bałtykowi.

Tutaj to niegdyś frycowano fryców, bijąc ich cholewą, aby pamiętali, którędy jedzie się do pala, do drąga a którędy do Elbląga. Dziś z całej tej krotochwili orylskiej pozostała jeno tradycja.

W Gniewie zamek pokrzyżacki obrócono na więzienie, a dom trzypiętrowy, przez Sobieskiego budowany, dotąd jeszcze stoi.

Król Sobek bowiem lubił tu przebywać z swą ukochaną Marysieńką, która mu życie całe zatruwała, a która własnym dzieciom była nawet nie życzliwa. Za co on ją już tak kochał, to niewiedzieć. Wisła dotąd płynie powoli i prawie że stoi a woda w niej do picia nie dobra. Pływają jakieś morskie robaki, a miast piasku — ma spodem mułu czarnego do wolna. Pić wody już od Tczewa (po niem. Dirszau) nie można, tylko piją tę, co w garnki sobie poniżej nabrali. Ziemia nad brzegiem jest tłusta i bujna — są to bowiem te słynne Żuławy gdańskie, które z namułu Wisły powstały, a są bardzo urodzajne.

W czasach starodawnych — jak świadczy sławny nasz historyk Szajnocha — niziny tutejsze były całkiem zalane wodą, które zalewała przestrzeń aż do stareńkiej Kruszwicy, aż po Gopło.

A że to jest prawdą niezbitą, że mieszkańcy nad brzegami rzek mają się nieźle, bo choć woda zabierze, ale woda i przyniesie, toć i tutejsza ludność miała się dostatnio i tak jest po dziś dzień. Most pod Tczewem mający 2668 stóp daje świadectwo, jak to ta maluchna Wisełka pod Krakowem potrafiła tutaj rozrość się do takiej szerokości.

Flisaki tutaj zbierają się do domu nie na żarty i pakują manatki, bo pal widać. Różni szmaciarze przyjeżdżają do nich po stare ubrania. I odemnie chciano kupić starą połataną sukmaninę, ale jakem sobie wspomniał, że w niej tyle lat chodził mój ś. p. ojciec, żem się tyle tygodni nią w budzie przykrywał, żal mi się jej zrobiło i wolałem ją dźwigać, aby się w domu raczej do cna sterała, niżby miała iść w ręce niemieckich szmaciarzy.

*) smalec surowy — uważa oryl, że pochodzi z konia.

**) niemowlątko.

***) dumm, znaczy głupi.

Nareszcie stanęliśmy już przy Mołtawce, którą zamyka od wód wiślanych silna śluza. Tuż przy niej stoją tak zwane pachołki. Są to grube pale, u których się okręca linę, wstrzymującą tratwy, by nie poszły na morze.

W nadbrzeżnych karczmach czyli t. z. „gasthauzach“ oryle popijają sobie gorzalinę, a skrzypkowie wygrywają im wesołe śpiewki.

I niech sobie gada kto co chce na naszych chłopów, ale ta ich wesołość, choćby i w największej biedzie, to jest coś nadzwyczajnego.

Tutaj to przy pachołkach, albo się przepraszają ci, co się w czasie orylki pogniewali, albo się poczubią, jak się patrzy.

Na naszej ryzie było trzech muzykusów. Byli to Chłopeccy z Siedliszowic. Ojciec i dwóch synów, jeden klarnecista kulawy. Po ich muzyce oryle, obdarci i bosi, ot dziadury wierutne, wybijali hołubce przy Gdańsku, żeby im tego najbogatszy elegant mógł pozazdrościć. A cóż to, czy to nie drąg, czy po pracy zabawić się nie można, albo czy to jutro już nie mają do domów wracać?

Kiedy się tak bawią „książęta wodne“, nagle rozszedł się szmer: „retman idzie!.“ Oryle co prawda mieli kajdek żalu do niego, bo to był, jak mówili, żydowski ujek, toć jechał i rankiem i wieczorem, nie zważał wiele ani na święto, ani na mamkę*) tylko płynął, tylko stafował**) insze ryzy, toć go mieli ochotę nieco poiskać tutaj, ale stary grajek powiada: „Słuchajta waje, ja wyjde po niego i zagram mu marsia. Jak się będzie znał na rzeczy to „rój“***) a jak nie, toć go trzeba ofrycować, niech zna chłopców Siedliszowianów. Ale jeżeli ci byli mądrzy, to i retman nie należał do głupich i gdy ujrzał muzykantów klaskał w ręce, śpiewał i wołał: „Hej chłopcy, zabawmy się, daj tam pani wódki“ i całe grono ożyło na nowo, gdyby roślinki po wielkiej spiekocie i już po gniewie i już wszystkie urazy poszły w zapomnienie!

Pojęcie przechodzi, co z naszym ludem można łagodnością wskórać!

Śmiej się, cierpliwy czytelniku i nie śmiej, ale gdy mi przyszło tę nędzną budę opuszczać, gdy mi przyszło topić ten garnek, w którym tyle tygodni nędzną strawę gotowałem — żal mi się jakiś nieopisany zrobił. I nie miałem odwagi rozbić go, jak drudzy, alem go leciuchno wpuścił w nurty Wisły, jak grabarz dziecko do grobu.

Po wypłatę poszliśmy do Gdańska. I przeorawszy Wisłę, wychodzi oryl „naląda“, ale taki nie swój, jakby sierp połknął, bo to tu już koniec jego państwa — bo musi taką drogę iść pieszo, a tu na wodzie nogi odwykły od chodu i wydelikatniały, że droga daje im się dobrze we znaki. Retman i przednicy dużo z tonu spuścili, a nawet „żarna“ odznaczają się niezwykłą grzecznością. Znika różnica urzędu, i dziś wszyscy są sobie równi, wszystko biedni polscy ludzie, idący tak daleką drogą za onym kawalątkiem chlebusia.

Zarobek nędzny, każdy schował do woreczka wiszącego na szyi, a pokupiwszy siakie takie podarki dla swoich, każdy zdąża na dworzec, czekając, aż „dziadok“ czyli pociąg dla klasy roboczej pojedzie.

Mając chwilkę czasu wyszedłem na piękne miasto, które ma jeszcze cechę starodawną. Ratusz zwrócił mą uwagę, boć to rzecz miła acz stara. Budowa jego sięga wieku trzynastego, a miła choćby dlatego, że na jej szczycie stoi dotąd posąg króla Zygmunta III. (Dok. nast.)

Jakób Bojko.

---

*) mamka, mgła.
**) stafował, znaczy omijał.
***) rój, „ruhig“, spokój.

LI-TAI-PE.*)

CZERWONA RÓŻA.

(Lament samotnej małżonki).

Gdym siedziała samotna przy oknie nad robótką, ukłułam się igłą w wielki palec; i biała róża, którą haftowałam, przemieniła się w różę czerwoną.

Byłam więc zmuszoną pomyśleć o tym, który gdzieś w bezbrzeżnej dali przebywa, by rozbójników zwalczać; i myślałam o tem, jak to i on przelewa krew — i łzy popłynęły z mych oczu.

Naraz zdało mi się, że słyszę tętent jego konia, skoczyłam rychło: lecz to serce moje dudniało tak głośno i gwałtownie.

Znów usiadłam przy oknie nad robótką; i łzy moje haftują perły na osnowie w ramach.

---

*) *Li-Tai-Pe,* jeden z największych poetów chińskich ur. w 702 r. po Chr. w prowincji Sse-Tshuen, umarł w 761 r. „Wielki doktor“, „cesarz poezji“, „nieśmiertelny przyjaciel wina“ — jak go tytułują Chińczycy — uważany jest za półboga, wystawiono nawet na jego cześć świątynię.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Dr. Kutrzeba Stanisław: Historja ustroju Polski w zarysie. Lwów 1905 r. Nakładem księgarni B. Połonieckiego — E. Wende i Sp. st. 261.

Książka powyższa jest zwięzłym podręcznikiem. Obejmuje opis rozwoju form prawno-państwowych, administracji i praw poszczególnych warstw społecznych w Polsce. Dr. Kutrzeba prowadził samodzielnie studja z zakresu prawa polskiego i opracował kilka cennych monografji z tej dziedziny. W jego „Historji ustroju Polski" uwidocznia się samodzielność i gruntowność poglądów.

Autor dzieli dzieje Polski na sześć następujących okresów:

Okres wstępny do połowy wieku X. t. j. do powstania państwa polskiego.

Okres pierwszy — prawa książęcego, do wydania pierwszych przywilejów na rzecz społeczeństwa t. j. do końca XII. w.

Okres drugi — organizacji społeczeństwa — do śmierci Kazimierza Wielkiego i przywileju koszyckiego, a więc do końca XVI. w.

Okres trzeci — okres stanowy do Unji lubelskiej i do pierwszego bezkrólewia w końcu trzeciej ćwierci XVI. w.

Okres czwarty — rzeczypospolitej szlacheckiej — w którym szlachta utrwaliła wszystkie swoje zdobycze. Okres ten jest epoką zastoju i ciągnie się do 1764 r. t. j. do pierwszych przebłysków reform.

Okres piąty obejmuje czasy Stanisława Augusta brzemienne w doniosłe przeobrażenia społeczno-polityczne. Dr. Kutrzeba słusznie sądzi wbrew Bobrzyńskiemu, że społeczeństwo polskie mogło się obejść bez ponownego okresu absolutyzmu — rozwijając dalej swój ustrój parlamentarny, i dopuszczając do wpływu politycznego coraz to szersze warstwy społeczne.

Autor przedstawia stopniowy rozwój stosunków społeczno-państwowych w Polsce, obchodząc się zupełnie bez hypotezy najazdu.

Zgodnie z nowemi badaniami historycznemi i socjologicznemi za punkt wyjścia bierze ustrój rodowy w Polsce, słusznie, poprzestając na jego skonstatowaniu bez wchodzenia w szczegóły, co do których nie mamy żadnych danych.

Najsłabszą stroną w przedstawieniu genezy powstania warstw społecznych w Polsce wydaje się nam pominięcie roli zmedjatyzowanych przez Piastów książąt plemiennych, którzy niezawodnie, wraz z wyższą hierarchją urzędniczą, dali początek możnowładztwu naszemu.

Ciekawym jest pogląd autora na przyczynę, która spowodowała u nas brak różnic prawnych między szlachtą. „U nas, mówi dr. Kutrzeba, szlachta wytwarza się później, niż na Zachodzie, choć w podobny sposób; lecz ostatecznie jej zorganizowanie się przypadło na epokę stosunkowo wcześniejszą, o ile idzie o stopień rozwoju społeczeństwa, niż w innych krajach Europy. Kiedy przyjmowano herby, jeszcze pojęcie rodu istniało, choć coraz bardziej słabo. Przez przyjęcie herbów, przez wspólność herbową, znów to poczucie wzrosło. Wzrosła też solidarność rodowa. Wskutek tego do szlachty odeszły całe rody, a nie poszczególne rodziny, jak na Zachodzie, gdzie epoka herbów przychodzi już po upadku wszelkich łączników rodowych. Prawa i przywileje szlacheckie dostały się więc w udziale także i tym słabym ekonomicznie i społecznie żywiołom, których jedyną podporą była przynależność do pewnego rodu. A z tego powodu u nas nie wytworzyły się różnice pomiędzy stopniami szlachectwa, jakie się spotyka gdzieindziej, a szlachty jest stosunkowo znacznie więcej, nieproporcjonalnie dużo. I dziś przecie jeszcze łatwo to sprawdzić."

Ciekawym też jest pogląd autora na stosunki wiejskie w okresie rzeczypospolitej szlacheckiej. Ponieważ szlachta nietylko przytwierdziła chłopa do ziemi, ale jeszcze zdobyła dla siebie jego kosztem szereg przywilejów ekonomicznych, mających znaczenie monopolów, więc tem samem zamknęła niejako życie swoich poddanych w ciasnych bardzo ramach gospodarczych.

„Pan wsi wreszcie, mówi autor, w tym okresie rozwija swoje prawa propinacji, po skupie sołtystw, do których należała zwykle karczma. Tylko pan może warzyć piwo, pędzić wódkę, tylko pan może szynkować, a skądinąd trunku brać nie wolno, nie wolno nawet pić poza pańską karczmą... Wyrabiają sobie panowie także prawo młynne, t. j. zakazują mleć zboże poza pańskim młynem, a nawet niekiedy chłop tylko we dworze może sprzedawać to, co ma na sprzedaż, kupować to, czego mu potrzeba. Wieś zamyka się w sobie, cofa w rozwoju wstecz, do czasów naturalnej gospodarki. Ma sobie sama wystarczać, zaczyna tworzyć mały świat dla siebie".

Po tej zwięzłej a zarazem tak dokładnej charakterystyce stosunków wiejskich, po zaznaczeniu faktu, że szlachta posiadała prawo życia i śmierci nad chłopem, tem dziwniejszem wydać się musi zdanie autora, iż „...mimo to chłop nie przestaje być wolnym", gdyż ma majątek ruchomy, który do niego należy, którego mu nikt nie ma prawa zabierać itd.

Książka dr. Kutrzeby jest bardzo pożądanym nabytkiem, w naszej literaturze historycznej. Jest ona jedyną w swoim rodzaju. Zawiera mnóstwo ważnych szczegółów pomijanych zazwyczaj nawet w obszerniejszych podręcznikach historycznych.

Wykład autora jest ścisły i jasny. Cena książki przystępna. Należy życzyć jej jak najszerszego rozpowszechnienia. *L. K.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.